GŁOS
BRATA ALBERTA

ROK VII. STYCZEŃ-LUTY [redacted]1938 NR. 1.

PISMO PRZYJACIÓŁ DZIEŁA BRATA ALBERTA
KRAKÓW, UL. KOŚCIUSZKI 86.

DRUKARNIA »FORTUNA« R. KOSTUCHOWEJ, KRAKÓW, LUBICZ 13.

Czyn styczniowy

(W 75-tą rocznicę powstania styczniowego)

O Polsko, Polsko! święta, bogobojna,
Jeżeli kiedyś, jasna i spokojna,
Obrócisz swoje rozjaśnione oczy
Na nasze groby, gdzie nas robak toczy,
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać, jak łabędzie senne,
Polsko Ty nasza, gdy już nieprzytomni
Będziemy, wspomnij Ty o nas, wspomnij!
Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze, i piorun, co błyska.

J. Słowacki, Poema.

„Rok 1863“ — to najpiękniejsza karta historii naszego narodu, bo opromieniona „wielkością takiego męstwa, świętością takich ofiar, jakich Lud żaden nie zapisał jeszcze na dziejowych kartach swoich“[1]). Ten ostatni zryw do wolności, wywołany pragnieniem zmycia hańby, jaką zadał słynną „branką“ rząd najokrutniejszego z zaborców na wniosek Wielopolskiego narodowi polskiemu, — stworzył armię „zrozpaczonych“, którzy z pokutników, mścicieli stali się bohaterami, olbrzymami.

W noc styczniową z 22 na 23 zbiegła w lasy młodzież podniosła krwawy protest, rzucając się rozpaczliwie na garnizony rosyjskie. Biedna, źle uzbrojona „armia zrozpaczonych« dała swym bezprzykładnym czynem hasło do wybuchu powstania. I rozkrwawiła się Polska od Ojcowa, Miechowa po Płock, od Kalisza po Wilno, Grodno, Brześć. Zaludniły się lasy polskimi powstańcami, rozbrzmiały echami partyzanckich walk i na chwilę los Polski „spoczął na ostrzu kos dzielnych jej obrońców i bohaterów“.

Niestety czyn styczniowy skończył się najtragiczniejszą z tragedyj. Nad Polską zaciążyły widma szubienic, zaludniły się katorgi Sybiru, lochy kazamat i X pawilonów. Krwawy, nieludzki odwet brali „Wieszatele“ Murawiewy, Milutiny. I zdawało się, że czas istnienia narodu miał się już ku końcowi. Do ksiąg prawa wpisano, jako normy państwowej władzy, prawo zaborcy do odebrania zdeptanej Polsce jej ziem i jej mowy. Tylko, że co wielkie, bohaterskie nigdy nie ginie. Tak samo nie mogła przebrzmieć bez echa heroiczna i święta ofiara czynu

[1]) Odezwa Komitetu Centralnego z dn. 22. I. 1863.

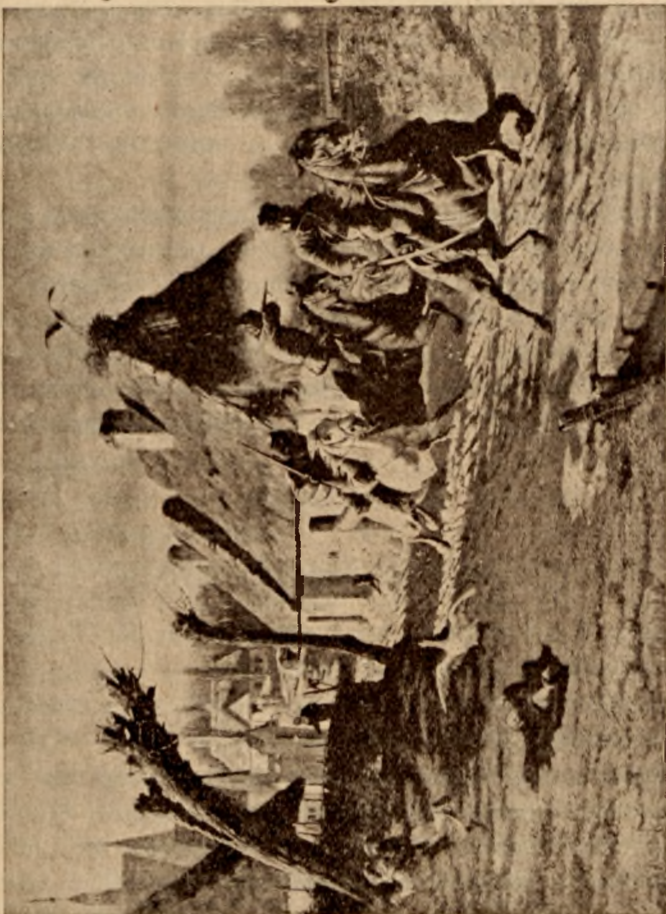
styczniowego, która przekazana najpiękniejszą legendą, pędzlem Grottgera, M. Gierymskiego, Brandta, Pruszkowskiego, Malczewskiego zapłodniła serca i umysły tych, z których zrodził się czyn legionów. Tu należy szukać echa lat dawnych, bo nasi legioniści 1914 r. to krew z krwi — kość z kości, duchowi synowie tych z „Sześćdziesiątego trzeciego roku". Ich twórca i wskrzesiciel Polski — Józef Piłsudski, to autor „Nocy Styczniowej" i jeden z najwybitniejszych historyków powstania. On



A. Grottger »Lituania« (IV) — Bój.

to na chwilę przed wybuchem wojny światowej w małej salce Seminarium Historycznego na Uniwersytecie Jagiellońskim wobec profesorów: Konopczyńskiego, Morawskiego, Tokarza, St. Szpotańskiego i innych referował dzieje partyzantki tego właśnie 63 roku.

Po półwiekowej głuchej przerwie, gdy „na ziemi mogił dogasły ognie“, druga, nowa „armia zrozpaczonych“ w składzie „kadrówki“ przeszła kordony rosyjskie, by ofiarą swego życia zaważyć na losach Polski, by ogniem i mieczem mścić tragiczny los bohaterów nocy styczniowej. I stała się Polska z czynu styczniowego i czynu sierpniowego.



A. Borkowski Utarczka z kozakami

Dziś, gdy obchodzimy pamiątkę trzeciego ćwierćwiecza powstania styczniowego, wspomnijmy jednego z tych, który jest nam najbliższy, a który jako jeden z pierwszych wraz z młodzieżą puławską stanął w szeregach powstańczych.

Brat Albert od owej nocy styczniowej aż do samego prawie upadku powstania walczył z „puławiakami“ pod rozkazami Zdanowicza, Frankowskiego, później pod Langiewiczem, Habichem, przeszedł przez twierdzę ołomuniecką, był adiutantem Chmielińskiego „Czorta“ i pod Trojaczyną nastąpił chwalebny finał jego wojaczki. Miłość ojczyzny przypieczętował krwią — stracił nogę.

Już później w Monachium — według relacji Wyczółkowskiego — Brat Albert „stworzył“ Maksymiliana Gierymskiego jako malarza i pośrednio jemu możemy zawdzięczać cykl dziesięciu obrazów z powstania, do których studia przygotowawcze czynił Gierymski z bronią w ręku w oddziale Oksińskiego, w Płockiem.

Adam Chmielowski, jak i Józef Kalinowski i Edward Nowakowski, wybitni powstańcy 1863 r. — przeszli później całkowicie w służbę Boga, przybrali imiona Albertów, Rafałów, Wacławów, — habitem mniszym zakryli blizny, a pokorą zagłuszyli swoje wspomnienia z lat krwawych. Nie mniej pamięć i sława tych czynów żyje i odżywać będzie coraz więcej wobec zainteresowania i kultu, jaki się około tych przepięknych postaci budzi.

Włafig

GOŚĆ WYMODLONY

Przyjdzie dziś Chrystus na świat przygnębiony,
Bo ludzi biednych, umęczonych bytem,
I świętem słowem ze serca dobytem,
Natchnie radością spłakane miliony.

Przyjdzie dziś Chrystus z płomieniem miłości
Do miast zgiełkliwych, wsi śniegiem zasłanych,
I w izbach naszych jasnych, rozśpiewanych,
Szczęściem się wielkiem pośród nas rozgości.

Siądzie wraz z nami do wspólnej wieczerzy
I kładąc dłonie na stroskane głowy,
Pobłogosławi nas na rok ten nowy,
Jak betlejemskich pokornych pasterzy.

Leonard Turkowski

„Będziesz miłował bliźniego swego“.

Chrystus, który był najlepszym psychologiem, ustanowił przykazanie miłości bliźniego i całą, porywająco świętą naukę ewangelii oparł na fundamencie miłości. Nienawiść, która jako uczucie jest antytezą miłości, — gubi serce ludzkie i jadem swym zabija jasność sądu i wszelki krytycyzm. Wszelki fanatyzm nienawiści jest grobem rozwoju intelektualnego, — a nienawiść zakorzeniona w socjalnym ustroju narodu gubi państwa.

Cud wolności, zdobyty najkrwawszą wojną, musimy uważać za sprawiedliwe zrządzenie Opatrzności, lecz nie wolno nam nienawidzić już potem tych, którzy krwawili także ranami bolesnymi. Chcę tu wypowiedzieć się o najboleśniejszej ranie polskiej, współczesnej, — o stosunku do Rusinów. Wojnę światową przebyłam na Bukowinie — przez lat kilka w stałym ogniu bitewnym. Wspomnienia te są dla mnie jakby snem i sama nie wierzę, że nerwy moje miały siłę przetrwać to wszystko. Było to wszystko tak straszne, tak bolesne i tak niebezpieczne, że już poprostu przestało wzbudzać lęk.

Widziałam jakby wędrówki ludów, pędzone w śmierci żniwo plemiona azjatyckie, fantastyczne postacie Turkmenów, — Czukasów, jakieś istoty wyglądające jak ilustracje do powieści z krajów podbiegunowych. — Huk armat, pękające szrapnele i bomby rzucane przez aeroplany rosyjskie i rumuńskie ogłuszały mnie, a w oczach miałam jakby welon krepy od dymów pożarnych, ruin i popiołów. A jednak i te rowy pełne wody, kopane na froncie, które były grobami żołnierzy, ani te platformy pełne zmarzniętych trupów, ani te obozowiska pędzących w popłochu uciekinierów cywilnych, ani w rozsypce uciekające wojska, ani lęk śmierci własnej, na którą byłam narażona w każdej sekundzie dnia przez przeszło trzy lata, — nic nigdy nie przerażało mnie tak strasznie, jak wojna rusko-polska. Cała dusza moja wstrząsała się na ten akt bolesny, a według pojęć moich tak niepotrzebny, więc przez to krzywdzący naród mój i naród ruski.

Braćmi jesteśmy, — historia mówi nam to i krew nasza — i dlaczegóż mielibyśmy się nienawidzić zamiast kochać?

Przed wiekami mieliśmy wspólnego ojca przecież, który kochał zarówno Lecha i Rusa (Czecha pewnie także), w ciągu

historii polskiej najczęściej matkami Piastów były księżniczki ruskie. Wizesława płakała za »Szczodrym« Bolkiem. Wierzchosławę kochał Henryk sandomierski i aby nie zgrzeszyć miłością do bratowej (była żoną jego brata Bolesława Kędzierzawego), poszedł walczyć z Saraceny na front wojny krzyżowej. Sonka była matką Władysława Warneńczyka i babką Zygmuntową i świętego Kazimierza. Jakżeż ta krew ruska związana jest z kulturą polską!

I nigdy nie było nawet mowy o żadnym antagoniźmie, dopiero podła polityka Metternicha rozpętała ten zamęt pojęć. Jednak szczęście, którego doznaliśmy od Boga w łasce przywróconej niepodległości, chęć zasłużenia na trwały rozwój naszego państwa w drodze ku świetlanej przyszłości, — wszystko to dobre, co pragniemy dla naszej ukochanej Polski, — powinno otworzyć nam oczy i serca, powinniśmy otrząsnąć się z amoralnego wpływu zaborców, którzy swoje atuty wygrywali rozmyślnym, perfidnym zaćmieniem naszych pojęć. Patriotyzm nasz powinien oparty być na bożej miłości i zachowaniu przykazań Chrystusowych.

Zdrowy rozum powinien prowadzić nasze czyny. Szukając wiedzy, dociekając zagadnień mądrości, hołdując estetycznym porywom sztuki, — w drodze pseudo - cywilizacji zapominamy często o ideale najwyższej prawdy, z której powstał wszechświat i o celach człowieka. Bo człowiek, to nie jest tylko „pan stworzenia“ — a człowiek to jest „odpowiedzialność“. Celem człowieka, to nie jest pycha, — a tak po staroświecku: zbawić siebie i innych pociągnąć do zbawienia. Zbawić siebie nie można bez miłości, a zbawienia swej Ojczyzny montować nienawiścią też się nie da. „Miłujcie nieprzyjacioły wasze“ — uczył Chrystus. Współżyjąc z ludźmi bliskimi nam kiedyś, którzy czoła i piersi znaczą tym samym krzyżem, który naszą jest świętością, — których tradycje sięgają do historii naszej, — których rozwój intelektualny i kultura serca także są zależne od stosunku z nami, pomóżmy im i sobie — spróbujmy nawiązać węzeł miłości. Kochając swój kraj i swój język, szanujmy u bratniego nam narodu jego przywiązania. Nie przypominajmy sobie krzywd wyrządzonych wzajemnie, — nie odgrzebujmy wspomnień krwawych, omotanych zaślepieniem.

Wojna polsko-ruska to jakaś w zamroczeniu umysłów uczyniona operacja, — rzeź, — cios w serce narodów. Rany przyschły. Któryż człowiek wdzięczny Stwórcy za cud życia, ośmieliłby się zdzierać strupy z ran bolesnych?

Pozwólmy ranom trwale się zabliźnić, a na bliznach połóżmy kojące krzyże, z których zawsze spływa balsam najświętszy: miłość.

Boże zmiłuj się nad nami! Hospody pomyłuj!

— — — — — — — — — — — — — — —

Nieraz w maju wstępuję do kościoła św. Norberta, który jest cerkwią grecko katolicką. Lud śpiewa dziwnie dźwięcznie, ksiądz monstrancję wznosi — i wtedy modlę się gorąco, aby wszyscy ludzie, którzy są dziećmi jednego Ojca-Boga, uwierzyli, że największą potęgą jest miłość, a największym szczęściem na ziemi: pokój w sercach. I proszę tego Ojca-Boga, by spojrzał łaskawie i skruszył serca ludzkie — i iskrę miłości bratniej w duszach ich zaszczepił.

I ufam...

I będę wysłuchana.

Michalina Janoszanka

OKRUCHY

(ZEBRANE PRZEZ KS. HENRYKA WERYŃSKIEGO)

W Strassburgu odbywał się w czerwcu 1922 r. kongres chrześcijańsko-społeczny, na którym kalwinista, prof. Wilfrid Monod, wygłosił w przemówieniu swym następujące słowa:

»*Chrześcijaństwo musi się obudzić. Godzina wybiła. Zaklinam was, dajcie nam założyć świecki tercjarski zakon według wzoru św. Franciszka z Asyżu. Chwila jest stosowna. Powinniśmy skorzystać i stworzyć w kościele naszym specyficznie franciszkański ruch a potem idźmy odważnie do pracy! Żyjąc w świecie, wyzwalajmy siebie z bezmyślnej i bezpłodnej światowości. Chwała niech będzie życiu prostemu! Wobec naszych bogaczy (nouveaux riches) zbierajmy wokoło siebie nowych ubogich*«

(porów. Marian Zdziechowski »W obliczu końca«, Wilno 1937 str. 286)

Brat Albert
mój najukochańszy mistrz i przyjaciel.
Wspomnienia razem z Nim spędzonych lat dwunastu (1893 — 1905)

Pierwsza wymiana myśli.

Nie zapomnę nigdy tej radosnej i błogosławionej chwili, gdym ujrzał Go po raz pierwszy.

Dowiedziawszy się od artysty-malarza, Wojciecha Gersona, podczas bytności mej w Warszawie, o wielkich, iście bohaterskich czynach Adama Chmielowskiego, wyruszyłem z Warszawy piechotą dnia 6 sierpnia 1893 r., jako pielgrzym, do Częstochowy i Krakowa, żeby złożyć hołd dziękczynny Matce Boskiej, a następnie poznać osobiście i uczcić Męża Bożego, Męża czynu.

Nie dziw, że świeżo nawrócony syn marnotrawny zapragnął żywych wzorów doskonałości ewangelicznej, bo, zaiste, potrzebował ich bardzo w życiu młodzieńczym, na drodze pokuty, rozpoczętej po cudownym nawróceniu. Nawrócenie to, zdaniem wielu księży, było cudem Łaski Bożej i Miłosierdzia Bożego.

Dnia 28 sierpnia, w dzień św. Augustyna, stanąłem na Kazimierzu w Krakowie przed furtą klasztorną Zgromadzenia Braci Albertynów.

Zgromadzenie to, założone w roku 1888-ym, dało mi przedsmak Nieba na ziemi i uprzejmą a serdeczną gościnę.

Po upływie kilku tygodni, w pierwszej połowie października Brat Albert, powróciwszy ze Lwowa, ukazał się nagle przede mną, zmierzył mię przenikliwym, płomiennym wzrokiem i długo wpatrywał się we mnie badawczo, z marsem na czole, niemal groźnie. Jam się nie uląkł Jego wzroku i też Mu prosto w oczy patrzyłem, jeno inaczej niż On, prawdziwy artysta, który zawsze i wszędzie szukał Prawdy, Piękna i Dobra. Patrzyłem nań bez cienia grozy z dziwnie błogim uczuciem zachwytu, uwielbieniem i jakoby dziecięcą ufnością. Po długiej chwili milczenia, jedyną odpowiedzią moją na spojrzenie Mistrza, sięgające w głąb duszy, był uśmiech cichy, radosny.

Taką była pierwsza wymiana myśli i uczuć.

On wtedy wziął mię, po ojcowsku, za rękę i wprowadził do swej ubożuchnej celi, gdzie rozmawialiśmy ze sobą przez trzy godziny z rzędu. O czym? Czyż mam powtarzać to, com wyznał przed Nim, gdy spojrzał znowu na mnie tak wymownie i życzliwie, jakbyśmy się znali z dawien dawna?

Nie zadając żadnych pytań, czekał z niebiańskim wyrazem oblicza na spowiedź pełną żalu i skruchy, pisaną przeze mnie krwią i łzami, uwieńczoną zasię później, po latach czterdziestu, hołdem dziękczynnym brata Józefa od Krzyża: »Tobie, o Mario! zawdzięczam to, czem dziś jestem«.[1])

Pierwsze słowa Brata Alberta.

Gdym wspomniał w rozmowie naszej, że ani O. O. Jezuici, ani O. O. Zmartwychwstańcy, ani O. O. Misjonarze nie chcieli mię przyjąć do zakonu, przerażeni ohydą grzechów, niejednokrotnie wyznawanych, bez koniecznej potrzeby, ludziom obcym — Brat Albert rzekł z rozumnym uśmiechem: »Ażali Pan i Bóg Abrahama, Ojca wierzących, jest kaleką? Przecz nie ściągnął zawory w uściech twoich? Gdyby chciał, zamknąłby ci gębę, żebyś nie gadał za dużo i nie oskarżał się tak zawzięcie i skwapliwie. Obawiano się snać powrotu na złą drogę, bo natura ciągnie wilka do lasu. Łaska Boża zasię cuda czyni i zwycięża ludzką naturę, skaleczoną sromotnie w raju utraconym przez Adama. U nas ci będzie lepiej aniżeli tam, gdzieś po próżnicy kołatał. Nasz zakon, bez pochyby, jest zakonem pokuty«.

Tymi słowy wyjaśnił mi wzniosłą tajemnicę powołania i porwał mię za Sobą od razu. A gdym opowiadał Mu z całą szczerością i prostotą klęskę życia, własne dzieje grzechu i stanowczy zwrot ku boskim wyżynom ideału, w uroczystym dniu Wniebowstąpienia Pańskiego Brat Albert, wzruszony do głębi, umocnił mię na duchu i pocieszył mówiąc: »Z takim żalem skruchą, przy śmierci, dusza twoja mogłaby pójść zaraz do

[1]) Wyznanie Syna Marnotrawnego. — Niepokalanów 1932.

nieba«. I dodał z cicha, prawie szeptem: »Jam też miał przeszłość burzliwą«.

W celi zapanowała cisza głęboka. Na Jego szlachetnym obliczu dostrzegłem cichą łzę chrześcijańską i głęboką zadumę. Czy treścią tej zadumy było pogłębienie zagadki bytu lub radość dobrego pasterza? Może jedno i drugie — ja nie wiem.

Studia nad filozofią ścisłą i mistyką.

Upłynęło zaledwie dni kilka od czasu, gdy brat przełożony Franciszek (Baltazar Wilk) polecił mi, abym dnia 4 października powiedział coś o św. Franciszku z Assyżu. W jakiś czas po tym przemówieniu, Brat Albert zbliżył się ku mnie, wręczył książkę, której był autorem, drukowaną 1888 roku p. t. „Przewodnik (większy) do Reguły III. Zakonu św. Franciszka Serafickiego" i rzekł głosem stanowczym: »Pozwalam ci na dalsze studia. Ucz się sam i drugich nauczaj tak, abyś wciąż postępował naprzód, a nie stał w miejscu jak słup, który wskazuje drogę innym, lecz sam nie idzie tą drogą«.

Gdym usłyszał tę mowę, doznałem niewysłowionej radości, chociaż wyrwał mi się mimo woli okrzyk zdumienia: »Bracie Starszy! Jakąż będzie moja pokuta? Jam już w roku 1884 poznał i umiłował filozofię bardziej, aniżeli wszelkie dobra i rozkosze ziemskie. Zdaje mi się, żem nie powinien korzystać z pozwolenia«.

Mistrz mój rozstrzygnął wątpliwość następującymi słowy: »Wolno miłować mądrość. Głęboka wiedza i nauka prowadzi do głębokiej wiary w Boga, jak słusznie stwierdził Bacon Verulamius«.

Gdym się lękał sabarytyzmu ducha, On przypomniał mi tęsknotę metafizyczną Orła doktorów i stosunek, jaki zachodzi pomiędzy celem a środkiem, wiodącym do celu.

»Ani wiedza, ani sztuka nie jest Bogiem. W nim jedynie cel życia naszego«.

I oto przez lat dwanaście, pod czujną opieką Mistrza, mogłem oddawać się studiom filozoficznym i teologii, jako były alumn Seminarium Duchownego i Akademii Duchownej.

Z różnych księgozbiorów użyczano mi drogocennych ksiąg, jak dzieła Platona, Arystotelesa i Pseudo-Areopagity w języku

greckim i łacińskim. Dalej na porządku dziennym było studium dzieł św. Bernarda, św. Bonawentury, św. Tomasza z Akwinu, św. Alberta Wielkiego, Ruysbrocka, Taulera i Tomasza á Kempis.

Moim programem naukowym objęte były również języki starożytne, zwłaszcza język hebrajski oraz inne dialekty semickie. Pierwsze miejsce zajmowało oczywiście Pismo Święte w języku greckim i hebrajskim.

Zwrot do mistyki chrześcijańskiej zawdzięczam Bratu Albertowi. O wspólnej pracy i studjach nad mistyką jeszcze wspomnę. Wolałbym nie mówić o sobie, aliści jedno z drugim się łączy podobnie jak dusza z ciałem, lub myśl, zawarta w słowie, z żywym słowem.

Miałem do pomocy w nauce paryską Poliglottę, wydaną przez prof. Vigouroux, pomnikowe dzieło Geseniusa w 3 tomach z zakresu filologii porównaczej. Słownik hebrajski i haldejski oraz oraz Lexicon rabbinico - philosophicum J. Buxdorfa, gramatykę arabską, ułożoną przez O. O. Jezuitów Durand i Cheikho, gramatykę syryjską, której autorem — O. Gismondi T. J. i wiele innych źródeł naukowych.

Gdym po dziesięciu latach systematycznej pracy umysłowej w zgromadzeniu zakonnym przedstawił Bratu Albertowi swój program naukowy, dowiedział się o tym z ust Mistrza mego O. Henryk Pydynkowski — Jezuita i rzekł doń: »Jak można było pozwolić na to, aby się tak zapamiętał?« Brat Albert odpowiedział zakłopotany: »Tak wściekłego zapału do nauki nie było chyba od początku świata«, a do mnie rzekł tonem rozkazującym: »Rzuć do kąta całą hebrajszczyznę!«

Jam zbladł jak trup i wyjąkałem głucho, nieprzytomnie: »Zapóźno!«, alem pasował się ze sobą chcąc być posłuszny... Daremnie.

Nie mogłem zmrużyć oka przez całą noc. Po nocy bezsennej stanąłem przed Bratem Albertem jak więzień skazany na śmierć. On ujrzawszy mię w tak opłakanym stanie, cofnął rozkaz wczorajszy zalecając jeno pewien umiar w zdobywaniu wiedzy.

Odrywano mię czasem od niej umyślnie... Kazali mi zbierać kamienie na polu, obracać żarna, wykonywać roboty kuchenne, pasać bydło, nosić wodę z odległego źródła. Robiłem to wszystko jedną ręką, bom nie wypuszczał książki z drugiej ręki. Nie dziwota, żem zgubił krowy w lesie.

Stałym moim zajęciem była praca nauczycielska w internacie Braci Albertynów, której poświęcałem się w ciągu lat dwunastu. Niekiedy wysyłano mię z drugim bratem na kwestę do miejsc kąpielowych: Rymanowa, Iwonicza, Krynicy. W Rymanowie i Jarosławiu wygłosiłem parę odczytów na temat filozofii indyjskiej. Raz Brat Albert kazał mi mówić o posłuszeństwie z posłuszeństwa. Kiedyindziej żądał wykładu z dziedziny metafizyki; było to we Lwowie. W najciekawszym miejscu, gdym się zapalał coraz więcej — przerwał wykład umyślnie dla próby, chcąc się przekonać, jak się zachowam w danym wypadku.

Umilkłem natychmiast czyniąc zadość Jego życzeniu...

Alem nie przestał myśleć w dalszym ciągu o metafizyce indukcyjnej.

Obłóczyny.

Dnia 19 października roku Pańskiego 1893 po wieczerzy, wezwany przez Brata Alberta, zbliżyłem się doń w milczeniu, On zaś, wobec braci zakonnych wskazał mi miejsce przy Sobie i oznajmiwszy to, co miało być dla mnie radosną niespodzianką, dokonał własnoręcznie podstrzyżyn. Niebawem nastąpiła uroczysta chwila obłóczyn. Z Jego rąk, wśród cichych modłów Zgromadzenia, otrzymałem habit zakonny, pasek św. O. Franciszka i różaniec. Imię zakonne, otrzymane przy pierwszych obłóczynach dnia 19 marca 1887, gdym był klerykiem w czterech mniejszych święceniach, pozostało nadal bez zmiany.

Mówić nie mogłem ze wzruszenia, On atoli widział radość moją i weselił się ze mną, mówiąc: »Widzę, że brat Józef się cieszy«.

Niestety, moje uczucie radosne nie było radością doskonałą, zaleconą ongi tak płomiennie przez Patriarchę trzech Zakonów serafickich, gdyż nie łączyło się w jedno nierozerwalne ogniwo z umiłowaniem Krzyża w życiu codziennym.

Krzyż Pański, godło zbawienia, broni nas jedynie i strzeże od upadku ducha.

Dzień moich obłóczyn był dniem św. Piotra z Alkantary, o którym Brat Albert opowiadał nam wielkie dziwy na podstawie pism św. Teresy od Jezusa, jako, że on wielki święty Pański

sypiał jeno półtorej godziny na dobę wśród mroźnych wichrów. Zali to byłby wzór i przykład dla mnie?

W dniu tym pamiętnym przyodziano mię worem pokutnym. To były drugie obłóczyny. Po nich nastąpią trzecie, będące przywilejem III-go Zakonu, gdy nadejdzie błogosławiona i pożądana godzina śmierci. Cupio dissolvi.[1])

Pokusa.

W parę dni po moich obłóczynach, przyszła do rozmównicy pani Leokadia Celińska, matka znanego artysty - rzeźbiarza Sławomiła, chcąc koniecznie widzieć się ze mną w jakiejś ważnej sprawie. Wiedziony złym przeczuciem, wolałbym nie wychodzić do niej, chociaż była mi powinowata. Zasię w porozumieniu z bratem przełożonym, stawiam się jak niepyszny na wezwanie. Brat przełożony oddala się dyskretnie, a sędziwa i zacna białogłowa przemawia uroczyście półgłosem, jakby lękała się, żeby jej kto nie podsłuchał: »Przychodzę z dobrą wieścią. Oto list stryja Włodzimierza. Stryj Włodzimierz Biesiekierski z Płowiec, doktór filozofii, chce na swój koszt wysłać brata Józefa do Rzymu w celu naukowym, aby tam, po ukończeniu wyższych studiów, został kapłanem Zgromadzenia O. O. Zmartwychwstańców. Oni zasię gotowi są przyjąć brata z otwartymi rękoma, jak mi sami wręcz powiedzieli. Wracam stamtąd. Nie trzeba się wahać ani chwili. »Kto się waha, ten się urodził do słów, nie do czynów«.[2])

Jam też nie wahał się wcale i rzekłem stanowczo: »Pozostanę z Bratem Albertem. Tum zaczął pokutę, tu ją skończę«.

Leciwa niewiasta, jakby rażona piorunem, osłupiała. Wreszcie po chwilowym odrętwieniu, markotna rzecze z niedowierzaniem i frasunkiem: »Dajęć trzy tygodnie do namysłu, przyjdę po odpowiedź raz jeszcze«.

I odeszła wielce zamyślona. A jam więcej nie spojrzał w jej stronę.

Gdy Brat Albert dowiedział się o wszystkim, rzekł do mnie z uroczystą powagą: »Zwyciężyłeś wielką pokusę, Bogu dzięki. Nie ufaj sobie nigdy, byś nie uległ małej pokusie, która cię czeka w tym życiu«.

---

1) Fr. Epistola B. Pauli Ad Philippenses 1,23.
2) Irydion Z. Krasińskiego — Masinissa.

Akt heroiczny pokory Brata Alberta.

Upłynęło kilka miesięcy. Dnia 4 kwietnia 1894 roku, około godziny 6-tej z rana, Bracia Albertyni poszli w nowych sandałach do kościoła Bożego Ciała w Krakowie; jam poszedł z nimi boso, gdyż jednej pary sandałów zabrakło. Po Mszy świętej, przed rannym posiłkiem, byliśmy w refektarzu.

Brat Albert kazał mi stanąć w miejscu oznaczonym i powiedział bratu przełożonemu i bratu Piotrowi: »Uczcijmy ubóstwo św. O. Franciszka«.

Po tych słowach zbliżył się ku mnie i pierwszy ucałował moje niegodne, grzeszne, bose nogi. W ślad za Nim uczynili to samo dwaj bracia zakonni Piotr i Franciszek.

Struchlałem...

Ogarnęło mię przerażenie, głos zamarł mi w piersiach, łzy trysnęły z oczu.

Dziś jeszcze nie mogę oprzeć się zdumieniu na myśl samą o tem, co się stało. Z głębi serca wyrywa mi się okrzyk Mickiewicza: »Jak ty mię swoją przerażasz pokorą«![1])

Brat Albert bardzo często rozmawiał ze mną na tematy religijne i ascetyczno mistyczne. Nie będę tu streszczał naszych rozmów, które nieraz trwały po kilka godzin z rzędu. Zaczerpnąłem z nich dużo światła i siły, tak niezbędnej w dalszych etapach życia.

Pod wpływem tej uczty duchowej, napisałem wiersz p. t. Pieśń św. Teresy. Było to w roku 1894, gdym otrzymał z Rzymu błogosławieństwo papieskie. Ten sam Ojciec Święty Leon XIII, błogosławił młodszą siostrzyczkę moją w Panu św. Teresę od Dzieciątka Jezus, karmelitankę bosą.

Gdy nadszedł Wielki Piątek, Mistrz mój wziął ewangelię do ręki i czytał w kaplicy ubogim historię Męki Pańskiej. Stał przed ołtarzem blady i wzruszony do głębi...

U stóp Mistrza klęczały sieroty bezdomne, znalezione przezeń w ciemnych zaułkach ulic miejskich. Opodal stali Bracia zakonni i ubodzy przytuliska, wpatrzeni w smętne oblicze Brata Alberta, który całą duszą i sercem umiłował Krzyż Pański, cnoty ewangeliczne i Pierwszą Regułę św. O. Franciszka z Asyżu.

---

1) Wiersz do Marceliny Łempickiej.

Profesja zakonna

Dnia 16 kwietnia roku Pańskiego 1894, w kościele O. O. Bernardynów na Stradomiu, złożyłem uroczystą profesję zakonną, którą przyjmował O. Czesław Bogdalski, przed ołtarzem św. O. Franciszka z Asyżu. Profesja ta pozostaje w ścisłym związku z pierwszymi obłóczynami, których dokonał ksiądz Infułat dr Stanisław Chodyński. Głównym powodem opóźnienia profesji zakonnej była moja apostazja po ukończeniu studiów w cesarskiej Akademji petersburskiej, trwająca przez lat kilka. Brat Albert ukazał mi królewską drogę Krzyża. Były to złote czasy gorliwości i zapału w służbie Bożej.

Gdyśmy wyjechali do Lwowa, tam nadarzyła się sposobność do naśladowania Brata Alberta w cierpieniu, bo oto razu pewnego gdym obchodził dwie duże sale przytuliska wzywając ubogich na różaniec z polecenia brata przełożonego Andrzeja, nagle zerwał się z pryczy niejaki Moszyński, rzucił się na mnie w oka mgnieniu, powalił na ziemię, bił pięściami po twarzy i głowie aż do krwi, lżył bez pamięci i kopał nogami. Nadbiegli wychowankowie zakładu, których stale nauczałem w szkole a nie mogąc mię obronić przed dalszą napaścią, wołali z płaczem : „on zabije brata Józefa".

Usłyszawszy krzyk sierot brat przełożony Andrzej przybiegł z innymi braćmi i wyrwał mię z rąk napastnika.

Ujrzano moją twarz zakrwawioną. Zewsząd słyszeć się dały pytania : „Dlaczego brat Józef się nie bronił?"

Milczałem rozpromieniony w upojeniu cichym, radosnym, bo to była moja pokuta i jakoby cień męczeństwa. Czym zaznał radości doskonałej ?

Brat Albert wiedział o tym. On spojrzał na mnie jak mędrzec i odgadł tajemnicę serca ; jam zasię czuł, że jarzmo Chrystusowe jest słodkie a brzemię l e k k i e. Wszak cierpliwość wszystko zwycięża. Doświadczenie przekonało mię o istotnej prawdzie słów Apostoła narodów : „Wszystko mogę w Tym który mię umacnia"[1]). c. d. n.

---

[1]) Filip 4, 13.

Wyrobienie wewnętrzne jednostki — podstawa Akcji Katolickiej.

(Skrócony referat wygłoszony na akademii w święto Chrystusa Króla w Oświęcimiu).

Kilka lat temu wracałem pociągiem z pewnej miejscowości do Krakowa. W przedziale — prócz mnie — siedziało trzech panów, którzy po upływie krótkiego czasu zawarli ze sobą znajomość i rozpoczęli rozmowę, która szybko zeszła na aktualny wówczas — temat tj. zbrodni Maliszów na niewinnym listonoszu.

Kto byli ci trzej panowie nie wiem, w każdym razie po ich mundurach można było przypuszczać, że zajmowali jakieś stanowiska społeczne. Można też przypuszczać, że byli katolikami.

Otóż — ciekawa była ich rozmowa. Po podaniu sobie wzajemnie najświeższych wiadomości, o szczegółach zbrodni i schwytania zbrodniarzy — rozpoczęła się żywa dyskusja — jednak — o dziwo — nie na temat potępienia zbrodni, lecz na temat niedołęstwa zbrodniarza, który przecież mógł inną drogę wybrać, aby się nie dać schwycić władzom bezpieczeństwa!

Otóż — trzech — prawdopodobnie katolików, a myśli ich i postawa w stosunku do takiej sprawy społecznej jak bezpieczeństwo życia — zupełnie nie katolickie.

Przykładów takich i podobnych możnaby mnożyć bez liku. Wystarczy porozmawiać lub wysłuchać czyichś wywodów na temat zagadnień społecznych, poglądów na sprawy moralne czy rodzinne, aby przyjść do wniosku, że istnieje r o z d ź w i ę k m i ę d z y i d e a ł e m a ż y c i e m.

O istnieniu takiego rozdźwięku świadczą e n c y k l i k i O j c a św. — bo gdyby rozdźwięk nie istniał, nie musiałby Ojciec św. przypominać katolikom o katolickim działaniu — a Akcja Katolicka o katolickiej myśli społecznej.

Dziś czcimy święto Chrystusa Króla, a na tym tle mamy rozważyć, czy nasza katolickość nie odbiega od katolickiej czyli prawdziwej myśli społecznej i czy nasza wola i działanie idą po linii katolickiego myślenia.

W poszukiwaniu Królestwa Chrystusowego wyobraźnia nasza unosi nas gdzieś w przestrzeń i tam pragnie znaleźć Jego

Królestwo! Może i to jest powodem tej wielkiej rozbieżności między ideałem, który jest gdzieś bardzo daleko a życiem tu na ziemi? Nie dajmy jednak unosić się naszej wyobraźni w poszukiwaniu Królestwa Chrystusowego, bo sam Chrystus — zapytany raz przez faryzeuszów — kiedy przyjdzie Królestwo, odpowiedział im: »nie przyjdzie Królestwo Boże z przestrzeni, ani powiedzą — oto tu — albo — tam, albowiem Królestwo Boże w was jest«.

A więc Jego Królestwa nie należy umieszczać w przestrzeni — ale w nas — we własnych naszych duszach. Czy możemy je konkretnie w naszych duszach widzieć, czy w naszym życiu możemy je konkretnie brać pod uwagę i wiązać z życiem? co więcej — uczynić je regulatorem naszych poglądów i naszego działania?

O Królestwie niebieskim w naszej duszy, powiedzmy za biskupem Prohaszką, że jest nim nasz stosunek do Boga, nasz świat wewnętrzny — urządzony według myśli Boga, że sposób w jaki myślimy i czujemy i kochamy, najgłębsze nastroje, najgłębsze pragnienia naszych dusz, to Królestwo niebieskie w nas. Takie określenie to nie ma nic wspólnego z wyobraźnią. To są fakty, które w każdej chwili konkretnie zbadać możemy — ale trzeba tylko szczerze przeprowadzić rewizję we własnej duszy, a przede wszystkim spytać, jaki jest nasz stosunek do Boga — czy religia, która ma być wyrazem tego stosunku do Boga nie koliduje z czynami?

Takie badanie będzie niczym innym jak wychowaniem swego świata wewnętrznego.

A dlaczego rewizja i wychowanie własnego świata wewnętrznego jest tak ważna. Rzecz jasna!

Wszelka naprawa w życiu społecznym musi się oprzeć na odrodzeniu moralnym jednostki, która wchodzi w skład grupy społecznej.

W przeciwnym razie „złota" całość mogła by się składać z nic nie wartających jednostek, jak mówi ironicznie Foerster.

Gdy w naszym życiu wewnętrznym rzeczywiście zapanuje Chrystus, to znaczy, gdy regulatorem naszego myślenia i działania będzie Jego nauka, to niepodobieństwem będzie, abyśmy się do Jego programu zawartego w ewangeliach nie stosowali

i dla Jego programu ofiar nie ponosili, a tym samym aby nasz sposób myślenia — nasz pogląd na sprawy społeczne nie był katolicki.

I tak — jak żelazo w ogniu stapia się w jedną całość i nabiera pewnych cech charakterystycznych dla poszczególnego gatunku, tak samo w świetle rzeczywiście obecnego Chrystusa w naszej duszy, stapia się nasza myśl, uczucia, nastroje i pragnienia w zwarty świat wewnętrzny, którego cechą nie tylko będzie — ale musi być katolickość a programem życiowym nauka zawarta w ewangelii, która jak mówi p. Myczka[1]), zawiera w sobie tyle dynamicznych wartości, że gdybyśmy je wyzwolili w nas samych z zapomnienia i wcielili we współczesne życie społeczne, komunizm straciłby rację bytu i zawisłby w próżni.

Jaki jest nasz stosunek do Boga?

Ta wielka niesprawiedliwość społeczna, na którą wszyscy narzekamy i którą tak ostro Ojciec św. piętnuje, to panowanie egoizmu, nędza materialna i moralna w społeczeństwie, to wielka i mimowoli szczera odpowiedź na pytanie — jaki jest nasz stosunek do Boga.

Jeżeli dla katolika Bóg jest czymś bardzo dalekim — to nie dziwota, że taki Bóg nie ma wpływu na jego życie.

Boga musimy się starać poznać z wiary a także przyrody — jak mówi biskup Prohaszka. Kardynał Newman — w „Przyświadczeniach wiary“ tak mówi: „Gdybym patrzył w świat, a nie odnajdywał w nim Boga, było by to dla mnie, jak gdybym nie znalazł mego własnego obrazu w lustrze.

Wiarę w Boga — mówi biskup Prohaszka w Rozmyślaniach o Ewangelii, — który ma być bliskim naszych myśli i czynów, trzeba w sobie rozwijać – gdyż w stosunkach ze światem u c z u c i a religijne tępieją a dusze zapadają w rodzaj snu zimowego, z którego się nie chcą przebudzić.

Brak im głębokości światła Bożego — brak wiosennego życia wewnętrznego — bezpośredniego odczuwania. Czy takie dusze są zdolne przejąć się żywotnym programem Kościoła i Akcji Katolickiej? Pielęgnujmy więc — mówi biskup Prohaszka — życie wiary przez modlitwę a modlitwą wspierajmy

---

[1]) »Przeciw monopolistom opinii katolickiej« Kultura Nr. 8, 1937.

wiarę. Modlitwa wpłynie na pogłębienie wiary i zbliży nam Boga.

Modlitwa musi być skierowana do praktyki, w przeciwnym razie byłaby niczym innym jak rozrywką, rodzajem przyjemnego marzenia w obłokach, błahostką bez wartości.

Modlitwa musi znaleźć swój wyraz w czynie i prostować nasze zboczenia.

Dlatego też biskup Prohaszka napomina, aby nie ufać pobożnym rozczuleniom, z których nie czerpie się mocy do pokonywania siebie, swego egoizmu do bezwzględnego pełnienia woli Bożej.

Powszechnie ludzie wytwarzają sobie o modlitwie niedorzeczne pojęcie, mówi Bernanos w swej powieści p. t. „Pamiętnik wiejskiego proboszcza". — Gdyby modlitwa była istotnie tym, co oni myślą, jakąś gawędą, dialogiem jakiegoś maniaka ze swoim cieniem, albo mniej jeszcze — płonnym i zabobonnym zwracaniem się w celu uzyskania dóbr tego świata, czyż byłoby do uwierzenia, że tysiące istot znajduje w niej, aż do śmierci tyle błogości i pełnej radości?

A krytykom modlitwy tak Bernanos odpowiada: „Czyż człowiek rozsądny dlatego, że czasami uderzał końcami palców w klawisze fortepianu — czułby się upoważniony do oceniania wielkiej muzyki? A jeżeli jakaś melodia nie robi na nim żadnego wrażenia, jeżeli musi się zadowolić obserwowaniem na twarzy innych, odbicia rozkoszy jemu nie dostępnych, czy nie oskarży o to tylko samego siebie?

Chodźmy więc do Boga — mówi biskup Prohaszka — prośmy Go, nie opuszczajmy modlitwy, lecz trwajmy przy Panu, nawet, gdy zwleka z pomocą. Ze łzami i łkaniem wyciągajmy ku niemu dłonie i nie ustawajmy w błaganiach. Wartość takiego usposobienia nie tkwi w tym, że otrzymujemy o cokolwiek prosimy, bo to czasem niemożliwe, lecz w owym zjednoczeniu z Bogiem, w owym wyprężaniu się duszy ku Niemu.

Mówi się dziś dużo o ruchu bezbożniczym, o jego sile i walce z nim.

Bezbożnictwo walczy zdecydowanie, aby zniszczyć wszystko, cokolwiek nosi na sobie ślady Boże!

Z czym wystąpi katolik do walki?

Czy można sobie inaczej tę walkę wyobrazić jak przeciwstawieniem się pobożnością, (ale nie w znaczeniu bigoterii) — oraz tężyzną moralną i życiem katolickim! A życiem katolickim dlatego, bo ono wymaga ofiar a to, co zdobędziemy za cenę ofiar musimy pokochać i bronić!

A więc chcemy walczyć z bezbożnictwem,
zrewidujmy swoją pobożność.

Chcemy walczyć z niesprawiedliwością.
zrewidujmy w świetle nauki Chrystusa swoją sprawiedliwość.

Chcemy walczyć z egoizmem,
wypowiedzmy w imię wyznaczonych zasad walkę własnemu egoizmowi.

Chcemy walczyć z niemoralnością,
bądźmy sami moralni. —
Zatem wszystko zaczynajmy od własnego podwórka.

Czcijmy dziś święto Chrystusa Króla w pogoni za Jego Królestwem, szukajmy je we własnej duszy, pytając się jaki jest nasz stosunek do Boga — i w jaki sposób ten stosunek wyrażamy. Jest to praca długa — ale im dłuższa tym lepsza, bo nie ograniczy się tylko do czci i chwały jednego dnia.

Jednak odrodzenie religijne, względnie życia religijnego jednostki i jego tężyzny moralnej — to nie wszystko. Gdybyśmy mieli najlepszy materiał budowlany — a nie używalibyśmy go do budowy jakiegoś trwałego gmachu służącego wspólnym interesom — wówczas taki materiał poza swoją wartością — byłby bezużyteczny. I cóż by nam przyszło z podziwiania materiału, któryby nie był użyty do celów wznioślejszych.

A w społeczeństwie ludzkim? Tężyznę moralną jednostki należy wyzyskać do celów wyższych, służących całemu społeczeństwu.

Gdyby ludzie — na czyjeś donośne wezwanie — jak automaty — zmienili swoje postępowanie — wówczas możnaby przypuszczać, że za odrodzeniem jednostki pójdzie automatycznie odrodzenie całości — i w społeczeństwie zapanują idealne stosunki.

Naturalnie — nie można być tak naiwnym i łudzić się. Gdyby to była tak łatwa sprawa, to po 19 wiekach chrześcijaństwa nie trzeba by wzywać ludzi do powrotu do zasad katolickich, katolickiego myślenia i katolickiej etyki. W życiu społecznym ścierają się prądy, które pod wpływem opinii odłamów społecznych, przybierają na sile, słabną lub nikną zupełnie.

Ileż ludzi pójdzie za wezwaniem do stosowania zasad katolickich w życiu? Ileż ludzi będzie takich, którzy dobrowolnie chcieliby się wyrzec korzyści, które właśnie daje im wyzysk? Tacy głusi na głosy przestrogi Kościola byli i będą.

Gdybyśmy się do nich zwracali o zastosowanie zasad katolickich w życiu, o sprawiedliwość i przeciwstawiali im tylko własne katolickie zasady i życie — to byłoby tak — jak byśmy chcieli -- nie młotkiem — ale perswazją wbić gwóźdź do ściany.

Dla głuchych na głos Boży, na głos Kościoła może być skuteczny — jak młotek — zbiorowy głos katolickiej opinii.

Niech wśród prądów — i ścierających się opinii — nie braknie zwycięskiej katolickiej opinii. Niech ją stworzą zorganizowani w Akcji Katolickiej — katolicy.

Dlatego poza wyrobieniem moralnym jednostki, poza życiem i działaniem na terenie własnego podwórka, obowiązkiem katolika jest brać udział w zwartej opinii katolików, która by miała wpływ na życie społeczne a tym samym na usunięcie zła.

Co więcej -- na terenie każdego warsztatu pracy, zjednoczeni katolicy — mogą mieć przemożny wpływ i bez walk klasowych wpłynąć tak na polepszenie materialne jako też i na odpowiednie traktowanie pracownika.

Rudolf Hajnos

Jubileusz Miłosiernych Braci

Dziwnym zrządzeniem losu na Kazimierzu krakowskim stanęły w niewielkiej odległości dwa przybytki miłosierdzia: przytulisko Brata Alberta i szpital Miłosiernych Braci (Bonifratrów). Nie względy sąsiedztwa, ale wielkie pokrewieństwo idei oraz analogie w tworzeniu i pracy dzieł św. Jana Bożego i Brata Alberta, które wyrosły z najgłębiej odczutej »Charitas« chrześcijańskiej, skłaniają nas, byśmy z okazji 400-lecia istnienia zapoznali się bliżej z tak sympatycznym i zasłużonym zakonem i jego Założycielem.

W Hiszpanji Karola V., w Granadzie, położonej w uroczej Andaluzji, szedł ulicą jednego dnia 1537 r. wysoki i silny portugalczyk, lat około 40 — przyszły św. Jan Boży. Nagle spostrzegł on na drzwiach małego domku wywieszkę z napisem: »Dom do wynajęcia dla ubogich«. Ten napis stał się dla niego wskazaniem Boga. Już od wielu lat Jan z całą tęsknotą szukał drogi, którąby mógł iść spełniając wolę Bożą. Jako młody chłopiec był pasterzem, później zarządzał dobrami swoich opiekunów. Dwukrotnie jako żołnierz walczył pod sztandarami króla z Maurami i nawet wyjechał do Afryki, gdzie pragnął ponieść śmierć męczeńską. Wrócił i podjął się dziwnego w owych, a tak modnego w naszych czasach: apostolatu dobrych pism. Podróżował, sprzedając je po całym kraju, a wreszcie założył nawet sklep w Granadzie. Cóż kiedy dotąd nigdy jeszcze nie mógł posłyszeć w sobie wyraźnego głosu Boga. Teraz dopiero na tej wywieszce znalazł on nagle swoje powołanie: powinien założyć szpital i sam zostać sługą, bratem i ojcem ubogich i chorych.

Jan był szlachetny, inteligentny i odważny, ale był biedny a przy tym ludzie uważali go za zmiennego i chwiejnego. Dużo musiał zwalczyć trudności, zanim wynajął ów mały domek. Uporządkował go i począł kwestować i znosić do siebie łóżka, miednice, ręczniki, koce i inne przedmioty, które jego celowi miały służyć. Wkrótce miał 46 łóżek przygotowanych i zaczął przyjmować chorych, których sam z delikatnością matki pielęgnował, żywił i leczył. Wkrótce już mały szpital nie wystarczał potrzebom i św. Jan musiał się przenieść do większego budynku.

Św. Jan Boży jest w rzeczywistości pionierem imponująco rozwijającego się dziś szpitalnictwa, ponieważ dodał on wiele

własnych zdobyczy w tej dziedzinie, która w jego czasach leżała odłogiem. Założył w wieku XVI — wyprzedzając daleko swoją epokę — nie tylko typowy, wszechstronny szpital, lecz także przytułek dla podróżujących, ubogich i żebraków, którzy byli bez środków do życia lub niezdolni do pracy. On pierwszy podjął myśl, którą także wprowadził w czyn, że obłąkanymi — dla których w swoim szpitalu stworzył osobny oddział — należy się w umiejętny i ludzki sposób zaopiekować, co jeszcze w długi czas po nim nie zostało należycie zrozumiane, tak jak my o tej sprawie zwykliśmy myśleć.

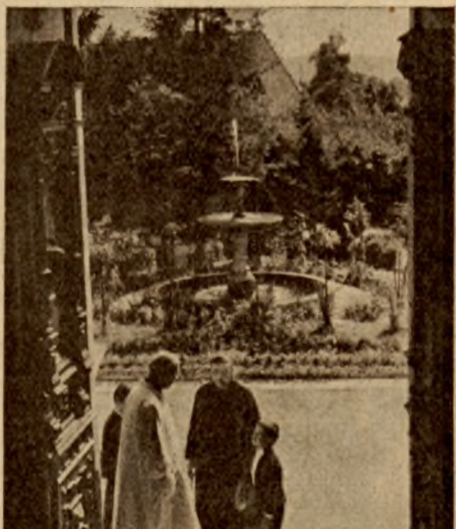
Lombroso, materialista i liberał, w swej znanej książce: «Geniusz« pisze o św. Janie Bożym, że był on reformatorem i nowatorem specjalnie w dziedzinie pielęgnowania chorych, ponieważ kładł on chorego pojedynczo w łóżku. On był pierwszym, który pomyślał, by chorych dzielić na kategorie. Przez to stał się twórcą nowoczesnego szpitalnictwa. On także był pierwszy, który założył przytułki dla bezdomnych, otwierając je w domu obok szpitala, gdzie mogli pożywić się i nocować bezdomni ubodzy i podróżni«.



Dla uwidocznienia, jak dzieło św. Jana Bożego przerastało ówczesną rzeczywistość, należy wspomnieć, że jeszcze w 250 lat po założeniu szpitala przez św. Jana Bożego w Paryżu, w królewskim szpitalu słynny Hotel de Dieu, łóżka chorych stały pomieszane i połączone razem, tak, że jedno łóżko musiało służyć 4, 6 albo jeszcze więcej chorym. Kiedy by się więc poznało

warunki takiego choćby paryskiego szpitala, potrafi się należycie ocenić znaczenie św. Jana Bożego dla szpitalnictwa i doniosłość pracy zakonu Bonifratrów, który w swym rozwoju na przestrzeni czterech wieków zakładał wszędzie szpitale i urządzał je według pierwowzoru z Granady.

Święty Jan Boży, wyczerpany ciężkimi warunkami pracy dla ubogich chorych, mając ciało wyniszczone pokutnymi umartwieniami, zachorował śmiertelnie i zmarł w dniu 8 marca 1550 r. Kanonizowany został w r. 1690 a papieże: Leon XIII i Pius XI ogłosili go patronem szpitali, chorych i personelu szpitalnego.



Do Polski przybyli Bonifratrzy w roku 1609. Sprowadził ich krakowianin Walerian Montelupi (Wilczogórski), który oddał im swą kamienicę przy ul. św. Jana. Powstał tu klasztor i szpital pod wezwaniem św. Urszuli. Na tym posterunku pracowali Bonifratrzy do roku 1812, kiedy to budynki szpitalne groziły zawaleniem i kiedy na polecenie Fryderyka Augusta, króla saskiego i w. księcia warszawskiego przeniesiono konwent i szpital do dawnego klasztoru OO. Trynitarzy. W XVII wieku powstaje w całej Polsce dalszych 14 fundacji i liczba ta oraz zasięg świadczy wymownie o rozwoju idei św. Jana Bożego w Polsce i popularności tego społecznego zakonu. Z rozbiorami Polski przyszły tak ciężkie czasy na Bonifratrów, że z kwitnącej prowincji polsko-litewskiej pozostały tylko silnie zniszczony klasztor i szpital w Krakowie na Kazimierzu, w pobliskich Zebrzydowicach

i w Cieszynie. W r. 1865 przyłączono te trzy placówki do prowincji austriacko-czeskiej.

W wolnej, odrodzonej Polsce odradza się również i zakon Bonifratrów. Przybywają coraz nowe placówki pracy nad chorymi. Oprócz Krakowa, Zebrzydowic i Cieszyna, pracują polscy Bonifratrzy w swoich szpitalach: w Bogucicach, Marasinie, Wilnie, Iwoniczu i w Łodzi. Od r. 1922 wznowiono pod wezw. Zwiastowania N. M. P. osobną prowincję polską, z siedzibą w Krakowie.

Jeżeli się porówna niektóre placówki albertyńskie jak np. Zakład dla nieuleczalnie chorych zw. Angielski Ogród w Krakowie, Przytulisko Brata Alberta dla starców i nieuleczalnie chorych we Lwowie, przypomni działalność Sióstr Albertynek w szpitalach dla epidemicznie chorych podczas wojny — z placówkami Bonifratrów, to łatwo stwierdzić, że na odcinku chrześcijańskiej akcji społecznej te dwa zgromadzenia zakonne stoją bliżej niż nawet ich domy macierzyste w Krakowie na Kazimierzu.

Jakżesz więc nie cieszyć się wspólnie z Ich wielkiego święta i nie życzyć Im z tej okazji najpomyślniejszego rozwoju w służbie miłosierdzia, w chrześcijańskiej opiece nad biednym i chorym! »Biedny, to rzecz święta«.

W. F.

LITERATURA:

400 Jahre Barmherzige Brüder, Wien 1937.
O. R. Meyer: Żywot św. Jana Bożego, Wilno 1926.
Zakon Szpitalny św. Jana Bożego, Kraków 1935.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku składa najlepsze życzenia Zacnym Dobrodziejom, Przyjaciołom Dzieła Brata Alberta i Czytelnikom „Głosu Brata Alberta"

Wydawca i Redakcja.

Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia

Brat Albert.

Ciąg dalszy.

Malarski świat w tych latach Krakowa nie stał na zbyt wysokim poziomie. Były dwa szczyty niebosiężne, Matejko i Kossak, poczem zaraz duży spadek i niziny: Gryglewski, Philippi, Gadomski, Benedyktowicz, Unierzyski, Cynk, Męcina, Cercha, Tondos, Stroynowski, Antoni Madejski rzeźbiarz. W porównaniu z tym zespołem nawet Warszawa malarska przedstawiała się ciekawiej: »Szczytów«, tj. Matejki i Kossaka, malarz Chmielowski ze swoimi i Witkiewicza doktrynami nie uznawał. Matejko w swym największym rozkwicie z najwspanialszymi »maszynami« działał im tak samo na nerwy w Krakowie, jak Gerson w Warszawie. Można śmiało postawić tezę, że Adam Chmielowski jeżeli nie do malarstwa wogóle, to do jego czołowej w Polsce reprezentacji powoli się degustował. Jego własne wysiłki twórcze też mu nie dawały coraz większej a raczej coraz mniejszą satysfakcję.

Mieszkał wtedy na Basztowej nr. 4, piętro drugie. Czy dużo malował i co, i gdzie się rozeszły jego obrazy z tych lat, to nie wiadomo. Ale to wiadomo, że niepomiernie więcej niż problemy sztuki interesowały go już wtedy problemy socjalne. Przypomnimy tu jeszcze jedno. W Londynie Chmielowski malarz może krótko, ale jednak był. Nie sposób, żeby tam któregoś dnia nie widział na którejś ulicy dziwacznego pochodu cywilnych żołnierzy i żołnierek, tak zwanych East-End-Missiones, to jest w r. 1865 zorganizowanej przez byłego pastora metodystów modnej »Armii Zbawienia«. Masoni i czerwoni wyszydzali i pluli na tę mobilizację doraźnej pomocy dla nędzarzy, włóczęgów i bezrobotnych, ale colonel William Booth robił swoje. Nasz rosły, mocny turysta o sztucznej, stukającej nodze musiał widzieć i zapamiętać sobie wielką akcję londyńskiego Goods Soldiera, Bożego Żołnierza. Zresztą na widowni dziejowej Anglosassów zaczęły się wówczas właśnie pojawiać jeszcze inne postacie, dotychczas niebywałe i dziwne, jak socjalizujący purpuraci biskup Ireland, kardynał Gibbons; spowiadał się też przed światem prosto i szczerze kardynał Newman.

Na bliższym zaś kontynencie, w przykrym i dokuczliwym sąsiedztwie od wschodu najbliższego, wstawał od biurka literackiego w pałacu Jasnej Polany powieściopisarz ziemianin Tołstoj i rósł w oczach do olbrzymich Mojżeszowych rozmiarów wraz ze swojemi tragicznemi niepokojami, zgryzotami sumienia, z tysiącem pytań, z rosnącem współczuciem dla wydziedziczonych i palącem pragnieniem pozbycia się i rozdania wszelkiej własności, wszystkiego posiadania swego... Czem jest — wobec bezmiaru nędzy ludzkiej — całe »Iskustwo« — sztuka? zapytywał i zapędzał się aż ku barbarzyństwu brodaty, bosonogi hrabia w parcianej rubaszce...

W Watykanie nastawał pontyfikat Leona XIII i przygotowywały się w ciszy kardynalskich kancelaryj pierwsze zarysy późniejszych encyklik.

Pogłosy tych nowości dochodziły i do podwawelskiego grodu, w którym czasowo osiadło i biwakowało tyle familij wielkopańskich, tyle mitr i koron, gdzie excepcionalnie (w tem dziesięcioleciu) tyle krążyło po ulicach karet, pojazdów, breków, gdzie z kucharzami mistrzami komponowano menu obiadów i kolacyj, gdzie z Wiednia »blitzem« sprowadzano frykasy, bekasy, ananasy, gdzie szampan pękał przy każdym stoliku w Grand-Hotelu. Na małą, na swojską skalę było się czem gorszyć i oburzać. To też oburzali się dzień w dzień panowie demokraci z »Reformy« i Bałucki i Bartoszewicz i Asnyk i Doboszyński, sami także zresztą (jeżeli z dzisiejszą pauperyzacją porównać) i smakosze i gourmandzi. Zbiedniały szlagon Bliziński, mający arcymierną posadkę w administracji efemerycznego katolickiego »Kurjera Polskiego«, oburzał się zresztą także... Już też i zjawili się na widowni pierwsi humanitaryzmu monopoliści krakowscy, marxiści z teoretykiem Gumplowiczem a praktykantami Daszyńskim, G. Górskim, Fr. Nowickim na czele.

Piccolo mondo, mały wielki światek miał też swego małego Sawonarolę w postaci zacnego księdza Badeniego, który znacznie przed Szczepanowskim, ale inaczej, z »innej beczki« ostrzegał i pisał o przeraźliwej nędzy i to nie tyle w Galicji, ile właśnie w tym Krakowie, ze zgrozą przypatrującym się »zbytkom« wmieszkanych Wołyniaków, Podolaków, z Ukrainy, z Kresów, magnatów z Krzeszowic, Dzikowa, Żywca, Łańcuta, Brzeżan,

których zresztą, nawiasem mówiąc, mógłby był razem podkupić jeden król musztardy czy smalcu z Chicago.

Nawoływania księdza Badeniego jednak zrobiły swoje. W pałacu biskupim naprzeciw Franciszkanów zaczęła się zbierać systematycznie Konferencja akademicka charytatywna (a raczej chyba Konfraternja) świętego Jana od Krzyża, kolekcjonująca fundusze pomocy dla ostatecznej przedmiejskiej nędzy. Na czele tego stał dziwaczny hrabia Ludwik Dębicki z »Wenecji«, długoletni specjalista od panegirycznych nekrologów w »Czasie«, poświęcanych wszystkim gdziekolwiek w Polsce urodzonym Bene-Natom Moriturom. Jest rzeczą stwierdzoną, że malarz Adam Chmielowski na tych zebraniach bywał, że w akcji dobroczynnościowej, jałmużniczej, rozdawniczej brał żywy udział, że pracował i w »Świętym Wincentym a Paulo«, ale że to wszystko chyba ani zadowolić ani wystarczać mu nie mogło. Była to jednak bowiem Charitas w stylu powieści bourgetowskich, odpadki ze stołu wielkopańskiego. To też już wtedy zaczyna się malarz Chmielowski egzaltować do wielkiej, nowej i pięknej idei socjalnej, do konspiracyjnej »Chrześcijańskiej Masonerii« (jak to nazywano), to jest do III Zakonu Świętego Franciszka, mobilizującego wszystkich i »cywilnych« i »światowych« ludzi w kadry Ewangelii na codzień, religijności i w powszednim życiu, ofiarności nieustającej.

Raz jeszcze i wtedy nawraca Adam Chmielowski do swego malarskiego zawodu. Rodzina Dzieduszyckich z Zarzecza a głównie słynny hrabia Wojciech zachwycał się jego obrazami i zaproponowali mu rodzaj stypendjum na prolongowanie studjów w Monachjum. Wyjechał ale na krótko, na bardzo krótko, bo zdaje się na kilka miesięcy zimowych, poczem znów wrócił do kraju, zrzekając się pomocy zacnych Dzieduszyckich.

* *
*

Na pierwszy dziesiątek tych lat przypadają także pewne epizody życiowe, z któremi nie hagjograf a biograf cywilny, laik, klerk (starający się hamować entuzjazm objektywizmem) trudno dość sobie radzi. Dotychczasowi żywotopisarze nad temi epizodami przechodzą albo rozmyślnie je przemilczają, albo też, co prawdopodobniejsze, nic konkretnego właściwie nie mają o tem do powiedzenia. Są to sprawy jakiegoś ciężkiego kryzysu psychicznego, przez jaki przeszedł mocny człowiek ze sztuczną nogą.

Legenda (też nie sprawdzona) upiera się przy hipotezie, że na dnie tego kryzysu kryła się jakaś głęboka, burzliwa, nie odwzajemniona miłość, l'amore profano. Ludzie starszej daty wymieniają nawet nazwisko tej panny z ziemiańskiej sfery Wschodniej Małopolski. Są przypuszczenia, że nawet jeden z ocalałych portretów, przechowanych trafem, przedstawia właśnie ten przelotny ideał ziemski. W związku z tym kryzysem uczuciowym jest także ucieczka do zakonu ojców Jezuitów, nowicjat w Starej Wsi i dalsze pogłębienie rozterki duchowej, które doprowadziło do konieczności krótkiego leczenia się w oddziale dla rozstrojonych nerwowo w znanym szpitalu dla obłąkanych we Wschodniej Galicji.

Na tę przejściową erę rzucić więcej światła mógłby tylko sędziwy Ojciec Pydynkowski S. J., obecnie w Kaliszu, który wonczas ciężko doświadczonego życiem człowieka przyjmował i nim się opiekował. W całokształcie przepięknego heroicznego żywota takiego seraficznego społecznika i ideowca niewyjaśniony ten epizod nie gra jednakże jakiejś dominującej roli, gdyż jak o tem świadczą listy nawet z ery cyganeryjskiej w Monachjum, już wtedy ta anima naturaliter christiana po brzegi była wypełniona wiarą i marzeniem o ofiarowaniu samego siebie prędzej czy później tylko służbie Bożej.

W analizowaniu życiowego przebiegu Adama Chmielowskiego dochodzi się do niewstrząśniętego przekonania, że wszelkie egoistyczne problemy doczesne już od wczesnej młodości nie wchodziły w rachubę i w grę i nie były nawet w rozwoju jego świątobliwości jakiemikolwiek impedimentami czy nawet imponderabiljami. Notuje się tylko dla zaznaczenia pełni człowieka, podlegającego tak samo szczęścia ziemskiego pokusom, jak podlegali im patronowie Kościoła katolickiego czy święci czy męczennicy czy misjonarze. Fakt zaś ten, że nowicjat został przerwany i brat Albert do zakonu Loyoli nie wszedł, należy tylko błogosławić, gdyż zerwanie nowicjatu ocaliło go dla jego wielkiej, mistycznej, socjalnej misji.

Działo się to wszystko w roku 1881. Nowicjat u ojców Jezuitów trwał tylko sześć miesięcy, kilka miesięcy pobył w zakładzie nerwowo chorych, poczem życiowy rozbitek skołatany i złamany, można powiedzieć stratowany przeciwnościami, rozterkami wewnętrznemi, znajduje ratunek i przystań w tej ziemi, na której

ród kresowy Jastrzębców Chmielowskich przez wieki siedział. Ratuje go brat Stanisław. Ten osiadł na Podolu po rosyjskiej stronie nad Zbruczem, dzierżawiąc w prześlicznej okolicy majątek Kudryńce od Koziebrodzkich. W Balinie pod Kamieńcem rezydują krewni Kopystyńscy, gdzie też mógł osiąść Adam Chmielowski. Ale Stanisław przyjeżdża po nieszczęśliwca i wywozi go do siebie, gdzie żyje dość dostatnio, bo prowadzi także wielką cukrownię. I tu Adam leczy swą skołataną duszę na tle najpiękniejszej przyrody w najbardziej pięknym, kojącym pejzażu. Początkowo jest jeszcze bardzo źle. Przeżywa okres bardzo ciężkiej melancholji i depresji. Egzageruje swoją sytuację życiową jako potępieńczą i bezcelową. I wtedy to na jednej plebanii natrafia w skromnej biblioteczce wiejskiego proboszcza na egzemplarz małej książeczki pod tytułem: »Reguła św. Franciszka«.

I teraz już widzi cel swego dalszego żywota. I już jest zdrów. Wie czemu ma się poświęcić i na jakim terenie apostolstwo swe zacząć. Ta jego fotografia na koniku, ta jego papacha i chłopski strój i ta bujna czarna broda i ten mocny wzrok mówią nam bardzo dużo. Przebywa tam może rok, może dwa, jeżdżąc od polskiego dworu do polskiej plebanii, od chat do chatynek i wszędzie apostołuje franciszkański chrystjanizm i werbuje Tercjarzy.

Że i w tych latach musiał, zetknąwszy się z najpiękniejszą ziemią i najbardziej kolorystycznym ludem — malować, to rzecz nie ulegająca dyskusji. W każdym razie jednak to konno to znów w »biedce« apostoł ze sztuczną nogą, rozjeżdżający się po wszystkich powiatach, wreszcie musiał wpaść w oko rosyjskiej żandarmerji. Więc kiedy zaczęto nastawać mu na pięty, Chmielowski zmuszony był zwiewać i znikać. Plon artystycznych prac rozsiał zapewne po dworach, po plebanjach i kościołach, i tam by tego szukać należało.

* * *

I znów widzimy go w Krakowie, ale już nieco innym. Moda arystokracji kresowej na Kraków minęła i to co majętniejsze, bogatsze, już się w różne strony świata powynosiło. Zostały niedobitki. Zostali dystyngowani profesorowie uniwersytetu, mówiący często i głośno krakowską francuzczyzną (Krzymuski, Potkański, Żorż Mycielski, Sokołowski), Zmarła księżna Marce-

lina z Justowskiej Woli. Orleani nie przyjeżdżają już więcej. Pozostali ojcowie Jezuici, no i moc tak zwanych szengeistów. Ksiądz profesor l'abbe Pawlicki już nie ma tak wytwornych i obfitych kolacyj (»niebo w gębie«), a ksiądz prałat Drohojewski gra w karty, ale coraz taniej. Te hrabiny zbierające na »wykupywanie murzynków«, na misjonarzy w Chinach, musiały Chmielowskiego jednak irytować, kiedy wychodząc z któregoś z pałaców, sterczących dumnie, wraz na ulicy natykał się na przysłowiową krakowską nędzę, brud, dziadostwo, obszarpaństwo i żydostwo.

I znów jest na swojej Basztowej, w swojej pracowni, w tej samej, w której mu kilka lat temu kolega - powstaniec wykradł resztę pieniędzy, przedtem przetrąciwszy mu żelazną nogę. Ale tym razem już nie gustuje Chmielowski w intelektualnym i filantropującym beau mondzie. Już jest przejęty po brzegi swojem posłannictwem. W pracowni malarskiej zbiera obdartusów, nędzarzy, łazików, wykolejeńców.

C. d. n.

Nowa placówka albertyńska w Kaliszu

Staraniem ks. prałata Stefana Martuzalskiego i dzięki życzliwemu poparciu ze strony Zarządu Miasta Kalisza powstało schronisko dla bezdomnych, które oddano Braciom Albertynom.

W przyszłości, po wykończeniu domu parafialnego ma powstać zakład wychowawczy dla osieroconych chłopców, nad którymi również obejmą opiekę Bracia Albertyni.

Z okazji otwarcia nowej placówki odbyła się w dniu 8 bm. uroczysta akademia ku czci Brata Alberta, założyciela Zgromadzenia Albertynów, którego celem jest posługiwanie ubogim i bezdomnym.

Akademię zagail ks. Cz. St. Niewęgłowski, a referat o życiu i działalności Brata Alberta wygłosił R. Hajnos z Krakowa. Dalszą część programu wypełniły śpiewy chóru pod kier. O. Gwardiana (franciszkanin) i kilka deklamacji. Udział publiczności był bardzo liczny. Po skończonej akademii ktoś z obecnych na sali wzniósł okrzyk »Bracia Albertyni niech żyją«. Wszyscy obecni kilkakrotnie żywo ten okrzyk powtórzyli.

Srebrne gody zakładu zwierzynieckiego.

Zasłużony Zakład Wychowawczy Braci Albertynów w Krakowie na Zwierzyńcu, święcił piękną uroczystość dwudziestopięciolecia swego istnienia. W r. 1912 jeszcze za życia Brata Alberta dzięki serdecznemu poparciu wielkich społeczników śp. nadradcy Banasia i śp. dr Pareńskiego, Magistrat Krakowa oddał Albertynom budynek poszkolny przy ul. Flisackiej na zakład wychowawczo-poprawczy dla chłopców. Od tego czasu przeszło przez zakład ponad 1600 wychowanków, którzy dziś usamodzielnieni zajmują różne stanowiska w społeczeństwie. Wielu z nich wzięło udział w święcie swej „Almae matris", a spora ich gromadka przyjechała nawet z odległych miast naszego kraju. Ten dowód przywiązania i wdzięczności dla wychowawców ma swą szczególniejszą wymowę i dobitnie świadczy, że zakład-jubilat dobrze pełnił swą służbę dla naszego miasta.

Uroczystości rozpoczęły się Mszą św., którą w kaplicy zakładowej odprawił ks. dr. J. Nęcek. Następnie odbyło się uroczyste zebranie w sali zakładu. Zagaił je p. Wł. Figiel, stud. U. J., b. wychowanek, a następnie przemawiał dyr. Hajnos, który podkreślił rolę jaką na tle katolickiej pracy społecznej zajmuje dzieło Brata Alberta. Podniósł również szczególniejsze zasługi Br. Generalnego Wincentego, który od samego powstania kierował zakładem. Obecnie kierownikiem zakładu jest Br. Karol. Imieniem b. wychowanków przemawiał p. Kaliszyński, nauczyciel. Po odczytaniu nadesłanych życzeń przemówił ks. mgr. Weryński. Program uzupełniły deklamacje i koncert orkiestry. Wieczorem Bracia Albertyni podejmowali swych b. wychowanków herbatką, podczas której dzielono się wzajemnie wspomnieniami z lat pobytu w zakładzie.

»Głos Narodu« 5. XI 1937.

Za pozwoleniem władzy duchownej.

Redaktor: WŁADYSŁAW FIGIEL

Wydawca: Brat WINCENTY. albertyn.

Administrator: Brat IGNACY.

Przedpłata roczna 1.80 zł. — Cena zeszytu 30 gr.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Adres zwrotny: »Głos Brata Alberta«, Kraków, ul. Tad. Kościuszki 86.